

## Góry Błękitne

Usilnie próbowałam skontaktować się z Grześkiem, poznanym podczas przejazdu z lotniska do hostelu. Niestety bezskutecznie, pomimo tego, że padła propozycja spotkania i wspólnego wyjazdu samochodem w Góry Błękitne. Nic nie dzieje się bez przyczyny, pomyślałam. Objazd gór samochodem był raczej nie dla nas, ponieważ zdecydowanie woleliśmy się po nich wspinać, chociaż słowo „wspinaczka” w tym przypadku okazało się słowem na wyrost.

„Góry Błękitne były kiedyś nieprzebytą barierą oddzielającą Sydney od wnętrza dzisiejszego stanu Nowa Południowa Walia”<sup>14</sup>. Dzięki odrobinom olejku wydzielanego przez lasy eukaliptusowe można zaobserwować charakterystyczną błękitną poświatę, stąd oryginalna nazwa dla tego słynnego parku narodowego, który cechują 300-metrowe urwiska z punktami widokowymi.

Obszar, na którym znajdują się Góry Błękitne, jest skalnym płaskowyżem, którego główny budulec stanowi piaskowiec. Płaskowyż jest poprzecinany wąwozami, które zostały wyżłobione w ciągu tysięcy lat przez rzeki. Góry były po raz pierwszy zdobyte w 1813 roku przez trzech europejskich eksploratorów: Gregory’ego Blaxlanda, Williama Wentwortha i Williama Lawsons. Można z nich podziwiać pejzaże, zaglądać w czeluście wąwozów czy śledzić kaskady wodospadów. Ponad 3 miliony osób odwiedza punkty widokowe i wodospady Parku Narodowego Gór Błękitnych. Jednym z najciekawszych rejonów parku jest jego fragment

---

<sup>14</sup> Tamże, s. 215.

położony w pobliżu miasteczka Katoomba, z największą atrakcją w postaci punktu widokowego o nazwie Echo Point, z panoramą skalną Trzech Sióstr i doliny Jamisona. Do parku można dotrzeć samochodem autostradą M4. Dojazd zajmuje dwie godziny autokarem z wycieczką oraz koleją<sup>15</sup>.

My wybraliśmy tę ostatnią opcję. Wstaliśmy o szóstej, po nieprzespanej nocy z powodu imprezy zorganizowanej przez innych gości hostelu. Udaliśmy się najpierw do wspólnej kuchni, w której zastaliśmy tylko właściciela całego przybytku oraz – co ciekawe – gromadkę prusaków. Niestety nie było już odwrotu, należało wypić poranną kawę w doborowym towarzystwie. Zanim dotarliśmy do dworca kolejowego, zdążyliśmy jeszcze pobłądzić, w końcu jednak udało się i wsiedliśmy do pociągu, który podążał w kierunku Blacktown, z przesiadką do Katoomby. Tam czekały na nas słynne Trzy Siostry, czyli trzy piaskowcowe filary sterczące nad 300-metrową przepaścią, i mordercza piesza trasa Prince Henry Cliff Walk, między Leurą a szynową kolejką Katoomba Scenic Railway. Z Echo Point mieliśmy do pokonania w dół 860 schodów, wykutych w skałach, które mocno dały mi w kość. Szczerze powiedziawszy, zaczęłam przeklinać pomysł wykucia stopni w skale. Po pokonaniu stopni szukaliśmy innego rozwiązania, ponieważ powrót tą samą drogą – ze względu na potworne zmęczenie – nie wchodził w grę. Jedyne, co pamiętam z przechadzki po parku, kiedy jeszcze nie nastąpił moment wyrzucania z siebie niecenzuralnych słów, to szelest liści, po których przechadzały się ptaki przypominające nasze rodzime kury, różniące się od tych ostatnich długim ogonem. Wybór innej drogi okazał się pułapką – kolejne dwie godziny marszruty, z krótką przerwą na obserwację białych kakadu. Dziś myślę inaczej – miałam szczęście, że mogłam je zobaczyć

<sup>15</sup> *Australia. Lonely Planet*. Wydawnictwo Pascal, Bielsko-Biała 2019, s. 76, 77.

z bliska w ich naturalnym środowisku. Wtedy zupełnie nie doceniłam tej chwili wytchnienia. Karmienie ich herbatnikami w ogóle nie sprawiło mi satysfakcji, ponieważ moje zdenerwowanie na siebie i na współtowarzysza podróży osiągnęło punkt kulminacyjny. Cóż z tego, że mąż wziął ode mnie plecak i niósł dwa zamiast jednego – zmęczenie i bezsilność były tak duże, że w oczach pojawiły mi się łzy i nasunęło mi się pytanie: „na co mi to było?”. Po chwili pojawiła się druga myśl: że nie jestem na wczasach wypoczynkowych, lecz na wyprawie, która wymaga poświęceń. Oczywiście liczyłam się z wyzwaniem, ale akurat te przerosły moje możliwości fizyczne i poczułam cały wysiłek następnego dnia w swoich obolałych stopach i nogach.

W końcu dotarliśmy do kolejki Railway, ale pomimo potwornego zmęczenia nie wsiedliśmy do niej, ponieważ przejazdka kosztowała 21 AUD za osobę i warunki oceniliśmy jako klaustrofobiczne, więc trzeba było poszukać innego rozwiązania. Postanowiliśmy zasięgnąć języka wśród innych piechurów. Światłem w tunelu okazała się hinduska para na naszej drodze. Zapytaliśmy: „Czy jest jakaś droga, którą możemy wrócić do miejsca, z którego rozpoczęliśmy wędrówkę?”. W odpowiedzi usłyszeliśmy: „Tak, jest droga i powrót powinien wam zająć czterdzieści pięć minut”. Później spotkaliśmy Australijczyka, który potwierdził, że dojście do Katoomby zajmie nam 45 minut. Hm, pomyślałam, bagatela 45 minut. Co to oznacza dla mnie? Niby bułka z masłem dla kogoś, kto chce się przespacerować, ale po pokonaniu już tylu schodów, przy bolących stopach i stawach to już raczej męczarnia, wysiłek za karę, mozolna walka z samym sobą, test dla ciała i ducha. Czy przetrwam tę mordęgę, czy skapituluję, czy jednak zahartuję się tym w boju? Myślę sobie, że całe nasze życie to wzloty i upadki. Człowieka w tym wszystkim można porównać do nieoszlifowanego diamentu, który musi być szlifowany przez całe

życie, czyli testowany mentalnie, emocjonalnie, fizycznie przez różne trudne sytuacje, ludzi, zwłaszcza tych najbliższych, którzy najbardziej nas doświadczają, aby stać się lepszym człowiekiem i odkryć swój wewnętrzny skarb, potencjał, którym może w pełni dzielić się z innymi na tej planecie i pomagać im wzrastać lub wykonać swoją lekcję i zapracować tutaj, na Ziemi, na lepsze życie po śmierci.

Kiedy jedne schody się kończyły, zaraz zaczynały się nowe – to chyba jak w życiu. Cel daleko, a jednak człowiek cały czas do niego dąży, pomimo zmęczenia, potu, łez, niekiedy zwątpienia w swoje możliwości, a w końcu z braku nadziei i zapału na realizację pragnienia, które miało inny kształt, kiedy się narodziło, a obecnie przybiera odmienną formę. Podczas morderczej walki z samym sobą pojawiło się rzeczywiste, fizyczne pragnienie, spowodowane brakiem wody w butelce. W drodze napotkaliśmy coś w rodzaju źródła, ale zaraz pojawił się jak filip z konopi ten sam Australijczyk, którego spotkaliśmy wcześniej, i ostrzegł nas, że woda niby ze źródła, na którą liczyliśmy i która miała ugasić nasze pragnienie, jest zanieczyszczona. Było to jak nokaut przed dotarciem do celu, uderzenie obuchem w głowę. Australijczyk pospieszył na ratunek i zaferował własną butelkę wody, byśmy nie polegli przed samą metą, która okazała się jeszcze daleko. Na dodatek obawialiśmy się, że zastanie nas ciemna noc.

Kiedy opuściliśmy góry i wyszliśmy na drogę asfaltową, niestety czekały nas do przejścia piechotą kolejne góry, które da facto pokonywały samochody. Jacek zaproponował, że może złapiemy stopa, ale ja usiadłam na przystanku i w sumie chciałam już tam zostać, dysponowałam bowiem resztkami sił. Czułam całe swoje ciało, jakby było poskładane z elementów. Każda jego część dawała mi się we znaki z powodu bólu, potu i zmęczenia, które odczuwałam w tamtej chwili.

Dotarliśmy w końcu do stacji. Co to był za wyczyn, a niech mnie! Teraz należało tylko wsiąść do pociągu i zregenerować ciało. Niestety trzydzieści minut czekania dało mi do myślenia. Co się jeszcze może wydarzyć w tym dniu walki z samym sobą, z własną cierpliwością i z wymęczonym organizmem? Pociąg włókł się niemiłosiernie, a naszymi współpasażerami byli głównie nieletni. Zwróciłam uwagę na trzy dziewczyny, które ucięły sobie pogawędkę. Jak podsłuchałam, wypowiadały się pochlebnie o swoim koledze homoseksualistcie i nowo zakupionej mikrofalówce. Za oknem kroił deszcz, w związku z czym poczułam się tak, jakbym podróżowała po Polsce. Wiadomo, deszcz i pogoda deszczowa mogą kojarzyć się z naszym krajem, w którym większość dni w roku obfituje w ponurą, jesienną i zimową aurę. W takich chwilach i takich okolicznościach marzę zazwyczaj o napiciu się herbaty lub kawy, jednak wtedy musiałam jeszcze poczekać na ten upragniony moment.

Nagle drzwi naszego przedziału otworzyły się z hukiem i wkroczył mężczyzna, którego nie dało się nie zauważyć, ponieważ jego olbrzymie kołyszące się ciało zajęło niemalże całe siedzenie, przewidziane dla dwóch osób. Przypomniały mi się wtedy programy o amerykańskich grubasach, którzy mieli swoich opiekunów i poruszali się na wózkach, ponieważ ich otyłość mocno ograniczała samodzielne przemieszczanie się. Ten facet co prawda jeszcze mógł się poruszać, ale było to dla mnie zadziwiające, do jakich nienaturalnych rozmiarów można powiększyć swoje ciało.

Podróż pociągiem dobiegła końca, jednak droga do hostelu się wydłużała, ponieważ najzwyczajniej w świecie zabłądziliśmy. Później wydawało się, że szliśmy w dobrym kierunku, a jednak znowu wróciliśmy do punktu wyjścia. Nie mogliśmy trafić do miejsca docelowego. Kręciliśmy się w kółko.

Idąc przez park, ucieszyliśmy się na widok targów z jedzeniem, do złudzenia przypominających targi śniadaniowe w Warszawie,

jednak z tą różnicą, że nie mogliśmy zakupić tego, co chcieliśmy, ponieważ przeszkodę stanowiły karty płatnicze. Okazało się, że nawet w plenerze, na targu, trzeba płacić kartą, płatność gotówką nie wchodziła w rachubę. Cóż, pod względem zaawansowania technicznego Australia jest już o duży krok dalej niż Europa, ale oczywiście ma to swoje plusy i minusy. Nie masz ze sobą karty na pikniku czy jarmarku? Nie kupisz nic za gotówkę. Byłam potwornie głodna i zła. Kolejny cios przed dotarciem do mety. Pozostały nam zakupy w sklepie, ponieważ nie chcieliśmy płacić kartą. Kupiliśmy kiełbaski i bułki serowe na kolację. Zakup kiełbasek był w moim przekonaniu wielkim niewypałem, ze względu na ich zbyt ostry smak, w związku z czym musiałam zadowolić się bułkami i wymarzoną herbatą w kuchni – tym razem już bez towarzystwa prusaków, które skrzętnie gdzieś się pochowały, lecz w towarzystwie podróżników z innych krajów, zajętych pogawędką o nurtujących ich obecnie sprawach.